

Nigdy do końca nie czułem, że gdzieś przynależę. Mimo upływu lat nie mogę całkowicie przywyknąć do stanu, którego pierwotną przyczyną byliśmy my sami. Wybrani, niebieskoocy, nieprzekraczający metra siedemdziesiąt wzrostu bez względu na dymorfizm płciowy, idealnie predysponowani do przetrwania w najtrudniejszych warunkach. Nieugięci, pozbawieni balastu w postaci bliskich relacji, wolni od chęci pozostawienia po sobie jakiegokolwiek spuścizny. Dopięliśmy swego, Plan został wykonany, a jego finał okryje wszystko całunem nicości.

Nie ma tu dla nas miejsca, ale jeszcze bardziej nie ma dla nich. Zbędność jest naszym wspólnym mianownikiem. Większość z nich nawet nie wie, że istniejemy. Starsze pokolenie miało jeszcze jakieś podejrzenia, czasami próbowali nas przechytryć, ale niepowodzenia skruszyły ich wolę, pchając w odmęty zwątpienia. Młodsze niedobitki, urodzone w wyniku błędu popełnionego przez któregoś z nas, całą energię zużywają na zaspokojenie podstawowych potrzeb, z roku na rok dziczejąc coraz bardziej. Z boku obserwujemy proces, nie musząc weń więcej ingerować. To najlepszy dowód słuszności naszego przedsięwzięcia.

Odwykłem od liczenia dni czy miesięcy, mimowolnie odhaczam tylko pory roku - wyblakła reminiscencja dawnych przyzwyczajęń. Nic, co policzalne nie ma już dłużej sensu. Od dnia Nowego Brzasku potrzeba kalkulacji runęła wraz z całą cywilizacją. Śmierć ostatniego z nas na zawsze pogrzebie pamięć o algebrze, o logice, o wszystkich teoriach, które doprowadziły ludzkość do krytycznego momentu przekonania o własnej nadrzędności.

Czuję, że to ostatnie z moich misji. Jeszcze parę zmian patrolowanych Terenów i zostanę zwolniony z Obowiązku. Decyzję podejmiemy na bieżąco, kolektywnie, kiedy zgłoszę reszcie, że zadyszka utrudnia mi pogoń, a oczy z trudem prześwietlają zieleń. Jedynym zadaniem, jakie mi wtedy pozostanie będzie przeżycie. Mój Opos zostanie przy mnie - polisa na wypadek niekontrolowanego wybuchu samotności, mogącego popchnąć mnie do irracjonalnych zachowań. Mamy zakaz nazywania naszych Tropicielei, posiadają jedynie taki sam numer, z dopiskiem „o”. Obaj nosimy nieśmiertelniki z cyframi 245.

Od wczoraj patrolujemy jeden z trudniejszych Terenów. Pozostałość po centrum dużego miasta, którego nazwy nie wolno nam pamiętać. Walące się wieżowce usypały

piramidy, piętrzące się szarością na tle czystego od wielu lat powietrza. Pełno tu wyrw i załamów, tworzących labirynt pomieszczeń, wyściełanych kruszonym gruzem i szkłem. Nawet roślinność ruderalna nie zdołała jeszcze zabiżnić wszystkich ran pozostałych po cywilizacji. Mozolnie odzyskuje przestrzeń, skrawek po skrawku, przeżuwając korzeniami coraz to większe bryły betonu. Metal rozpuszcza rdza, jedynie szkło zostanie pogrzebane w pierwotnej formie i zniknie pod kurhanem ściółki.

Opos czasami łapie tu trop, tylko po to, żeby go zaraz zgubić. Staram się mu pomóc, wypatrując w gruzowisku najmniejszych śladów mogących świadczyć o ewentualnej bytności grupy ludzi. Zwierzę potrafi wywęszyć nawet niewielką ilość pożywienia, ja natomiast bezbłędnie odróżniam miejsca wydeptane przez więcej niż jedną parę stóp. Pojedynczy człowiek praktycznie nie zostawia śladów, takim dajemy spokój, co jakiś czas sprawdzając tylko, czy nie spotkali innych.

To nasze główne zadanie - uniemożliwić powstanie jakiegokolwiek grupy, której członkowie mogliby uzupełniać się kompetencjami i nawet w bardzo prymitywnej formie doprowadzić do powstania załączka cywilizacji. Jesteśmy strażnikami Natury, pilnującymi, by wirus jakim jest człowiek wyginał raz na zawsze. Nie pozwolono nam zabijać, wyjątkiem jest ewentualna obrona własna. My też podlegamy procesom fizjologicznym, nie możemy sobie pozwolić na żadne, nadprogramowe straty. W momencie Wielkiego Brzasku byliśmy przygotowani i wyposażeni, przewaga ta pozwoliła nam na stratę zaledwie kilku członków w początkowej fazie Planu.

W ostatnim czasie dni są coraz spokojniejsze, nie musimy rozdzielać grup, wystarczy, że podstępem odseparujemy jednostki od newralgicznych miejsc. Ludzi ciągnie do charakterystycznych punktów, poaglomeracyjnych wrzodów, choć od lat nie można tam znaleźć niczego przydatnego do przetrwania. Czasem znajdujemy zwłoki - ci, którym udało się przeżyć, pozbawieni wygod i farmaceutyków, powoli wymierają ze starości. 2450 tropi ich bezbłędnie, identyfikując jako ewentualny pokarm. Przykrywam ciała gałęziami, oddając mimo wszystko ostatni raz szacunek człowieczeństwu.

Wieczorem nad Teren nadciągnęły opasłe chmury, powodując, że zapadający zmrok zaczął gęstnieć szybciej niż zazwyczaj. Opos wiercił się niespokojnie, chociaż istniało bardzo małe prawdopodobieństwo natknięcia się na jakikolwiek ślad. Od Schronu dzieliło nas kilkadziesiąt metrów względnie płaskiego terenu. Przywarł nosem do ziemi i wydał

przeciągły kwik - wytresowany, aby w ten sposób komunikować niepokojące sygnały. Wiedziałem, że nie mógł się pomylić. Wyciągnąłem z niezbędnika latarkę, energicznie zaciskając dłoń rozpedziłem silnik dynamo, oświetlając wąskim snopem teren pod naszymi nogami. Nie było wątpliwości, przechodziła tędy grupa ludzi. Z doświadczenia wiedziałem, że co najmniej pięć osób. Wytrenowano nas do zapominania o odpoczynku - ruszyliśmy w pościg.

Tropiciel parł przodem, wydłużyłem mu smycz pozwalając na większą swobodę ruchów. Kluczył wśród ruin, czasami przystawał i oglądał się na mnie, błyszczącymi w mroku paciorkami sprawdzając, czy nadążam. Może i on dopatrywał się oznak nadciągającej starości. Poruszaliśmy się cicho, żadne niewprawione ucho nie było w stanie wyłapać naszej obecności. Tylko co jakiś czas napędzałem dynamo, pilnując by żaden rozbłysk nas nie zdradził. Grupy, które nie uciekają, poruszają się wolno, kwestią czasu było więc kiedy ich dopadniemy. Intuicja, wyostrzona przez lata spędzone w samotności, podpowiadała mi, że są coraz bliżej. Niemal wyczuwałem ludzki odór. W tym aspekcie dorównywałem 245o.

Przyspieszyliśmy kroku, Opos naprężył linkę. Teren stawał się trudniejszy, majaczące w ciemności pozostałości drapacza chmur wyrosły przed nami na wysokość kilkudziesięciu metrów. Nagle poczułem luz na smyczy, przystanąłem przekonany, że ślad gdzieś skręca, a Tropiciel potrzebuje chwili do namysłu. Powodowany niepokojem podszedłem do 245o. Nie potrzebowałem światła, by dostrzec, że leży na boku.

Ignorując niebezpieczeństwo oświetliłem futrzany kształt. Spod żeber wystawał zardzewiały pręt, a zwierzę wpatrywało się we mnie przerażonymi ślepiami. Procedury były jasne - w przypadku utraty Oposa przysługuje nowy, ewentualną pogoń należy kontynuować. Próbowałem doliczyć się ile lat spędziliśmy spleceni w jedyną znaną nam powinność.

Zgasilem latarkę, najostrożniej jak umiałem wyciągnąłem pręt. Rozcięcie eksplodowało krwią i osoczem, drżącymi palcami zdołałem utkać opatrunek uciskowy na tak mały rozmiar. Stworzenie nie wydało ani jednego dźwięku - dotarło do mnie, że ufa mi bezgranicznie. Każdy Schron wyposażony był w apteczkę, dawkę antybiotyku wystarczyło przeliczyć na masę ciała zwierzęcia. I zrobić użytek z zestawu do zszywania ran. Ruszyłem w drogę powrotną, nieodwracalnie skazując nas obu na banicję. Tuliłem w ramionach ciepłe ciało, szepcząc co chwilę:

- Henry, nic się nie martw. Przetrywamy, wszystko przetrwamy.